

Guy de Téraumont.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

28

Ze starania z jakim te wszystkie szczegóły wykonane zostały, można było poznać człowieka, który nigdy nie działał lekkomyślnie.

Wiadomo, że po wyjściu pani Koopfs Strauss z córką z domu, nadeszła depesza wzywająca starą służącą do Vincennes do śmiertelnie chorej córki.

Paweł nadał tę depeszę z Vincennes, po przekonaniu się, że panie Koopfs Strauss skorzystały z przysłanych im biletów, gdzie bezzwłocznie udał się samochodem, i wiedząc, że stara służąca odbędzie połowę podróży kolejką elektryczną, drugą zaś pieszo, pewnym był, że zostanie mu dosyć czasu na załatwienie sprawy z bankierem.

Podczas dnia udał się do swojego pokoju, nie zwracając niczyjej uwagi w przebraniu chłopca z magazynu i zaczął czekać aż bankier zostanie sam w mieszkaniu. Wówczas upewniony ciemnością, że nie zostanie dostrzeżony z domów sąsiednich ani z ulicy, spuścił się po sznurze na balkon czwartego piętra.

W przeddzień dokonania zbrodni, jak to później śledztwo wykazało, w jadalnej sali Koopfs Straussów szyba została rozstrzaskana w kawałki. Stało się to za sprawą Pawła, który z tą samą zręcznością, zdolną położenia trupem na miejscu rozbieganego konia celnym strzałem z rewolweru, kamieniem wyrzuconym z procy załatwił się z szybą.

Odlepić świeży kit u okna, wyjąć szybę i wejść do mieszkania, nie było już rzeczą zbyt trudną.

Przechodząc przez przedpokój prowadzący do gabinetu bankiera, Paweł zdjął ze ściany sztylet dla obrony własnej. I nagle, kiedy baron Koopfs Strauss zajęty był klasyfikowaniem jakichś papierosów przy biurku, człowiek nieznajomy stanął przed nim, mierząc go poważnym spojrzeniem.

Na widok tego niespodziewanego zjawiska, w ciszy zalegającej całe mieszkanie, bankier powstał błądliwie, z okrzykiem przerażenia na ustach. Ale natychmiast odzyskał zimną krew i przytomność umysłu i skierował się szybko w stronę dzwonka.

Ale już nieznajomy zagroził mu drogę ruchem stanowczym.

— To nie potrzebne, panie bankierze — odezwał się — nie jestem ani złodziejem, ani zbrodniarzem... niech się pan uspokoi!... porozmawiamy trochę...

— Kto pan jesteś? — zawołał nareszcie wymownie bankier.

— Niech pan mi się dobrze przypatrzy! Czy mnie pan nie poznaje?

Bankier Koopfs Strauss patrzył ze zwrastającym zdziwieniem.

— Jestem Paweł de Vareilles! — wymówił po chwili nieznajomy wolnym, dobitnym głosem...

Koopfs Strauss zbłądził śmiertelnie.

— Paweł de Vareilles! — zawołał z przestachem.

— Porucznik marynarki, zasądzony w Toulonie lat temu dwadzieścia, za zdradę i szpiegostwo.

To nagle wywołanie przeszłości i zjawienie się niespodziewanie niewinnego, którego skazanie było jego dziełem, podziało piorunująco na bankiera. Przed jego oczami przesunął się błyskawicznie cały jego czyn haniebny, do którego on sam przyłożył rękę. Pomiędzy bohatery marynarki francuskiej, znalazł się niegdyś rzeczywiście jeden zdrajca, człowiek nieszczęsny,

który w godzinie nieobliczalnego szalu sprzedał świętą tajemnicę, powierzoną jego honorowi. Ale zbrodnia została odkryta i jej sprawca mógł w każdej chwili zostać aresztowanym.

Temu zaś za wszelką cenę przeszkodzić chciał rząd cudzoziemski, na którego żołdzie był ów oficer, bo nie tylko otrzymał od niego obietnicę wydania dalszych planów, ale zagrożony był przez niego zdemaskowaniem pośredników czynnych w tej sprawie.

Wtedy to Koopfs Straussowi przyszła szatańska myśl do głowy podstawienia młodego porucznika marynarki Pawła de Vareilles na miejsce zdrajcy. On to zredagował akta odnośnie, które zręcznie podsunęły w ręce władz francuskich i na mocy których sąd wojenny uznał Pawła winnym zbrodni stanu!

Przez krótką chwilę stali teraz obydwa naprzeciw patrząc sobie głęboko w oczy.

Była to chwila tragiczna, w której dwadzieścia lat najstraszniejszych cierpień moralnych zmarły nagle, wołając o zemstę, przed obliczem nędznika, a który je w sposób tak

mnie o tej godzinie i w ten sposób, ażeby ze mną mówić o tych rzeczach?

— Mam to prawo — odparł przejmując się Paweł de Vareilles — w ciemnym chaosie infamii, w którym się obracam, w tej odchłani wstydu, do której mnie wtrącono, jest jeden punkt jasny, do którego dążę uparcie, a jest nim Prawda, ta prawda ohydna, że nieszczęśliwy człowiek został skazany za czyn hańbiący, którego nie popełnił wcale.

— Ale cóż mnie to obchodzi?! — zawołał bankier silnie rozdrażniony.

— Żadam od pana dowodu mojej niewinności!

— Ależ ja go nie posiadam!

— Posiada go pan! — wyrzekł z siłą Paweł de Vareilles.

— I dlaczego to pan przypuszcza?

— Bo w tym okropnym procesie, z którego wyszedłem zbeszczeszczony, działa potajemnie ręka nędznika, który dla niewiadomej mi jeszcze przyczyny, wystąpił przeciwko mnie. Tym człowiekiem jesteś pan!...

Paweł oczekiwał wybuchu zdziwienia, zaprzeczenia lub też objawienia najwyższego oburzenia, tymczasem Koopfs Strauss wymówił tylko drżącym, niepewnym głosem.

— Ja?!

— Tak, pan! Ale dosyć już tej gry! Gdzie jest ten dowód? Gdzie go pan ukrywa? Może w tej kasie obok planów wojskowych, które oddaje pan swoim żołdakom! Wi- dzi pan, że jestem dobrze poinformowany. Znana mi jest również cyfra kombinacyjna kasy 24. 7. 85. to jest data dnia mojego aresztowania!...

Koopfs Strauss w miarę słów byłego oficera marynarki stawał się trupio błądliwie. Nogi uginały się pod nim. Musiał się uchwycić poręczy fotela, aby nie runął na ziemię.

— Panie! — wyszeptał po chwili ciężkiego milczenia — wyobraźnia unosi pana za daleko!

— Tak pan sądzi? — zaśmiał się ironicznie Paweł de Vareilles.

— Przecież...

Ale paweł go nie słuchał. Na stole leżały jakieś klucze. Wyciągnął rękę, aby je pochwycić, ale bankier dostrzegł jego ruch i uprzedził go.

Obydwa teraz rzucili się na siebie z twarzami palającymi wściekłością. Mieszkanie znajdujące się poniżej było puste. Nikt nie mógł się domysleć tej walki na śmierć lub życie.

Bankier nie pomyślał o zawołanie o pomoc. Musiało mu wiele zależeć na tem, aby skandal odgrywający się w jego gabinecie nie przedostał się do ciekawości publicznej.

Jednakże pod żelazną ręką Pawła de Vareilles, Koopfs Strauss prędko słabnąć zaczął. Rozpacziwym wysiłkiem uwolnił się, chcąc porwać rewolwer z szuflady biurka. Lecz brakło mu już do tego czasu.

W świetle lampki elektrycznej, błysnął stalowym ogniem zabójczy sztylet Pawła de Vareilles. Z piersi bankiera wydarł się okrzyk głuchy i zwałił się na podłogę, z wyciągniętymi naprzód rękami, ugodzony śmiertelnie w plecy.

— Sam Bóg tego chciał! — szepnął były więzień z mimowolnym dreszczem wstrętu.

Pozostawił trupa na podłodze i pochwycił klucze ze stołu.

Kasa była wewnątrz doskonale uporządkowana, co świadczyło, że bankier Koopfs Strauss należał do ludzi systematycznych, lubiących porządek.

Paweł dostrzegł prawie natychmiast w rogu, po lewej stronie stos aktów żółtych zapieczonych lakiem.

Ujął je w rękę silnie wzruszony. Akta te zawierały tajemnice jego kraju.

(Ciąg dalszy nastąpi).



— Nogi uginały się pod nim...

ohydny narzucił siłą człowiekowi niewinnemu i pozbawionemu obrony.

Koopfs Strauss jednakże zaczął pomalu odzyskiwać utraconą równowagę. Czegóż właściwie miał się lękać tego człowieka, który zbiegł z więzienia, i który wydany przez niego władzom, powrócić tam może w każdej chwili?

Postanowił więc ostro stawić mu czoło i nie dać się zastraszyć.

— Przypominam sobie rzeczywiście cośkolwiek tę sprawę... — wyrzekł wolno, udając, że zbiera w pamięci rozproszone wspomnienia. — Ale ja nie wiem czego pan odemnie żądać może?...

— Zwrotu mojego honoru!... — odpowiedział Paweł de Vareilles spokojnym głosem.

— Czy do mnie należało się z tem zwrócić? — zawołał bankier coraz pewniejszy siebie. — Czy nie był pan, o ile mnie pamięć nie myli, skazany sprawiedliwie przez swoich przełożonych?...

— Pan wie doskonale, że tak nie było!

— Naprawdę? mój panie... Pozwoli pan jednak, że uznać muszę powagę sądu, który się odbył w sposób legalny. Do mnie więc należy zapytać, jakim prawem wcisnął się pan do